

0

Ul. Kol. Mysia

1



2





3

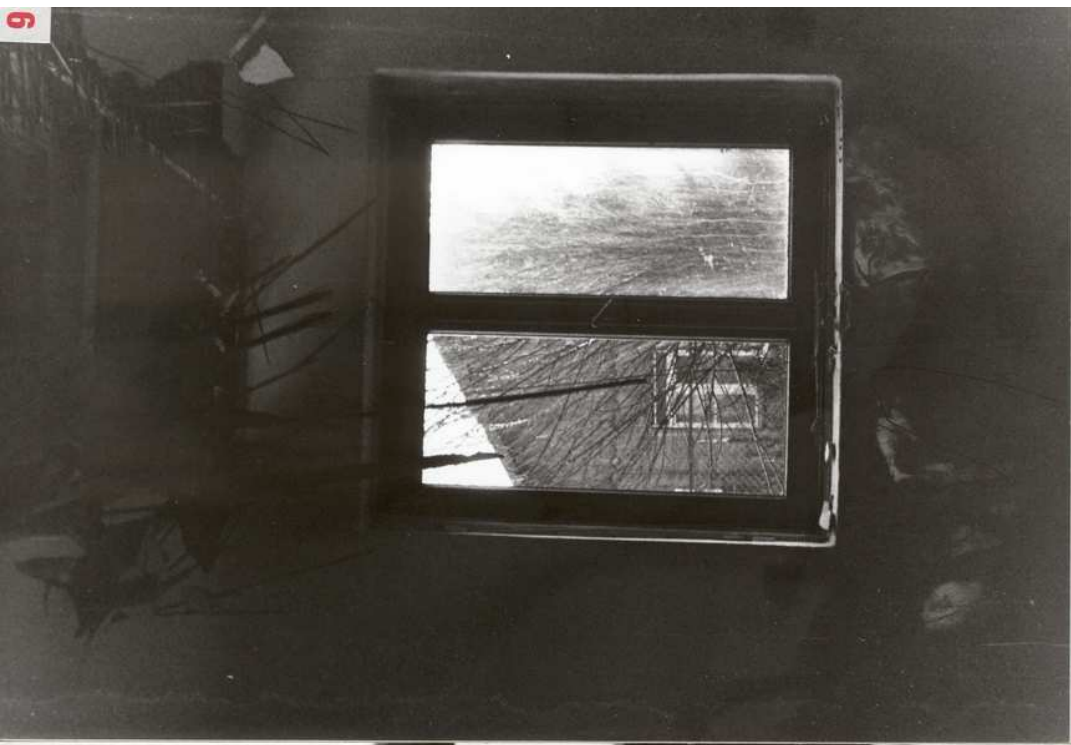


4

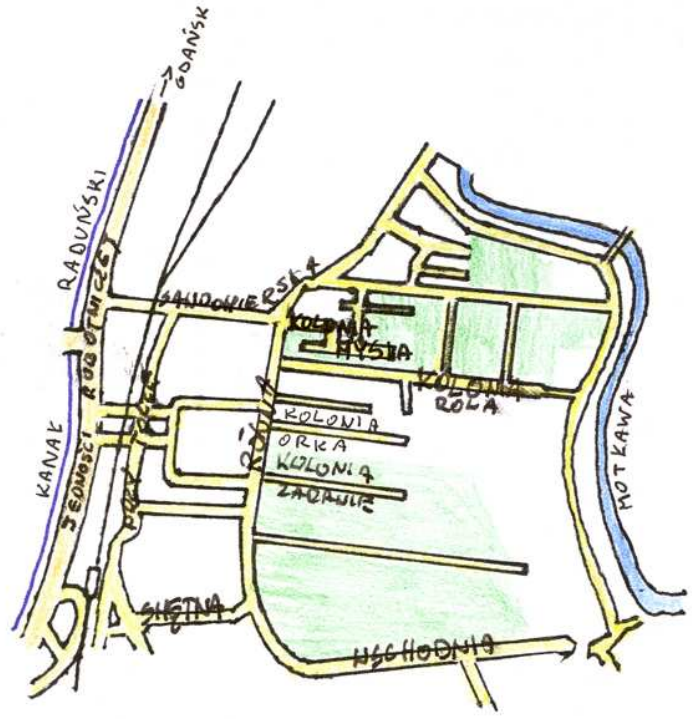


5









- DRĘDA PRZELOTOWA
- ULICA
- OGRODKI DZIAŁKOWE
- RZĘKA MOTKAWA
- LINIA KOLEJOWA

SKALA 1:20000

SPOTKANIE Z MIEJSCEM

Kolonia Mysia (fot. 0) leży stosunkowo blisko centrum Gdańska, na obrzeżach Dolnej Oruni. Umiejscowiona jest pomiędzy wałem przeciwpowodziowym Motławy, a dosyć rozległym kompleksem zakładów przemysłowych, co powoduje niknięcie osiedla w ogólnym krajobrazie regionu, a to z kolei wydaje się być bardzo interesujące ze względów zarówno geograficznych jak i społecznych. Kolonię trudno jest odróżnić od znajdujących się nieopodal ogródków działkowych, gdyż jest to właściwie jedna, wąska uliczka, wzdłuż której stoją niewielkie, jednopiętrowe domki (fot. 1 i fot. 2). Zbudowano je w latach trzydziestych ubiegłego wieku dla ubogich niemieckich robotników, których później prawie wszystkich wysiedlono do Niemiec, Francji i Austrii. Po wojnie zamieszkali tam Polacy z tzw. „lumpenproletariatu” pochodzący z różnych regionów kraju. Przyczyny, dla których osiedlili się właśnie tu, mają przede wszystkim podłoże ekonomiczne. W okresie powojennym, jak wiadomo, w całym kraju zachodziło zjawisko wewnętrznych migracji ludności ze wsi do miast i z regionów mniej uprzemysłowionych do bardziej uprzemysłowionych. Na Kolonii Mysiej zamieszkali więc ludzie raczej biedni, poszukujący pracy, których nie stać było na znacznie droższe mieszkania wyższego standardu w centrum miasta. Domki, do których trafili, z zewnątrz w większości wyglądają jak murowane, jednak ich konstrukcja wykonana jest z taniego, suchego drewna, ponoć najgorszego gatunku (fot. 3). Ma to ogromne znaczenie jeżeli chodzi o warunki bytowe mieszkańców, gdyż kolonia położona jest na terenie prawie depresyjnym (Żuławy) i dosyć podmokłym – na wysuszonych przed wojną bagnach. Ponadto otoczona jest z jednej strony Motławą, a z drugiej niewielkim, ale bardzo, jak w zeszłym roku się okazało, niebezpiecznym kanałem Raduńskim. Takie położenie geograficzne niesie za sobą ogromne zagrożenie powodziowe, co w konsekwencji prowadzi także do częstych podtopień terenu i gnicia drewnianych fragmentów budynków, które z tego względu trzeba często remontować. Dlatego też wygląd zewnętrzny domów jest bardzo zróżnicowany. Ci, którzy mają pracę, pieniądze i ochotę dbają o estetykę swojego mieszkania, inni żyjąc z zasiłku dla bezrobotnych wykonują jedynie niezbędne prace remontowe, a są też tacy, którzy kawałek po kawałku palą drewniane fragmenty domu w kominku, czekając na mieszkanie zastępcze, gdyż władze miasta od trzydziestu lat planują rozbiórkę całej kolonii.

Plany te spowodowane są nie tylko w/w zagrożeniami powodziowymi, ale także okręgiem przemysłowym, który miał powstać na terenach kolonii. Znajdujące się w okolicy różne zakłady przemysłowe (fot. 4 i fot. 7) są najlepszym dowodem postępujący proces całkowitej industrializacji obszaru, rozpoczętego już w latach sześćdziesiątych. Także brak kanalizacji oraz zbudowana dopiero przed piętnastu laty sieć wodociągowa świadczą o obojętności władz na sprawy bytowe mieszkańców kolonii. Przez długie lata prawdziwą zmorą była także znajdująca się nieopodal papownia – zakład przetwarzający smołę. Wydzielające się stamtąd dymy i opary spowodowały zatrucie gleb i wód gruntowych. W ogródkach nic nie rosło, zwierzęta chorowały a mieszkania przesiąkły zapachem smoły. Zakład zamknięto piętnaście lat temu ze względu na wprowadzone w kraju międzynarodowe normy dotyczące ochrony środowiska.

W roku 1945 całą Dolną Orunię nawiedziła wielka powódź. Mimo solidnego, zbudowanego w pobliżu przez holenderskich inżynierów systemu pomp i wałów przeciwpowodziowych, nie dało się uniknąć ogromnych strat materialnych. Trwała wtedy wojna i były problemy z energią więc pompy nie zadziałały. Władze zdecydowały, że lepiej będzie gdy zalane zostaną tereny uboższe, niż centrum Gdańska i przerwano wał nad Motławą na wysokości kolonii. Wśród dzisiejszych mieszkańców niewielu pamięta, a na pewno nikt nie był naocznym świadkiem tej katastrofy. Najstarszą żyjącą na kolonii osobą jest pan Józef, który sprowadził się tu wraz z rodzicami w 1946 roku. Z tego co opowiadał wiadomo, że mieszkania na kolonii w większości przypadków przechodzą z pokolenia na pokolenie, tzn. dzieci dziedziczą domy po swoich rodzicach, którzy z kolei mają je po swoich rodzicach. Nie ma takiej wymiany ludzi jak w blokach mieszkaniowych, tutaj wszyscy znają się od lat, tworząc dosyć zwartą lecz nie zamkniętą społeczność. Jednak o tym, jacy naprawdę są ludzie mieszkający na Kolonii Mysiej pokazała zeszłoroczna powódź.

Był 9 lipca, początek wakacji. Po kilkudniowych upałach okolice Trójmiasta dotknęły wyjątkowo gwałtowne i ulewne opady. Przez jedną noc spadło tyle deszczu, że Kanał Raduński o szerokości zaledwie dwóch metrów, mający za zadanie odprowadzać wodę opadową spływającą z Górnej Orunii, wystąpił z brzegów. Nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Mieszkańcy Dolnej Oruni, w tym także Kolonii Mysiej, od lat byli przyzwyczajeni do wylewów rzeki Motławy na mniejszą bądź większą skalę, ale nigdy nie przyszło im do głowy, że ten niepozorny kanał może stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Woda w ciągu kilku godzin sięgnęła parapetów, ludzie wyrwani ze snu ratowali się ucieczką na strych (fot. 5), niosąc na rękach małe dzieci i możliwie jak najwięcej dobytku. Władze miasta były bardziej zaskoczone niż mieszkańcy, straż pożarna nie wiedziała jak przeciwdziałać klęsce, pojawili się szabrownicy, policjanci nie mieli motorówek – panował chaos.

„Powódź zabrała swoim ofiarom nie tylko dobytek. Woda przyniosła też poczucie beznadziei, zniechęcenia, braku przyszłości. Kiedy nadchodzi noc i ludzie odrywają się od porządkowania swoich domostw pojawia się lęk.

- Ludzie już z tego wszystkiego wariują - mówi pan Jan z ulicy Kolonia Mysia na Oruni. - Na początku był szok, teraz dopiero dochodzi do nas, co się naprawdę stało. Ze świadomością, że nic już się nie ma, żyje się piekielnie trudno. Najbardziej szkoda dzieci...

Pan Jan opowiada o sąsiedzie, który po powodzi próbował się powiesić. Inny mieszkaniec Kolonii podobno zwariował. Jeszcze inny nie chce wychodzić z domu. Sąsiadom mówi, że już tutaj zostanie.[...]

- W nocy nie możemy spać. Człowiek czeka, kiedy znowu spadnie deszcz i zaleje wszystko - żali się naszemu reporterom pani Bożena, mieszkanka Kolonii Mysiej. Jej skromny dom znalazł się wprost na drodze, którą szedł strumień wzburzonej wody. Chatka początkowo zadziałała jak falochron, potem woda wdarła się do środka i zniszczyła wszystko. Do ogródka spływały rowery, sprzęty domowe i inne rzeczy z sąsiednich budynków. Dzisiaj dom nadaje się chyba tylko do rozbiórki.

- Nie wyprowadzę się stąd nigdy. Na pewno przekwaterują nas do bloków, a ja w bloku czuję się jak w więzieniu - mówi pani Bożena. - Tutaj mam swoje kaczkę,

ogródek, tutaj można było wieczorem wyjść w koszuli nocnej do ogródka żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Żyliśmy biednie, ale pełną piersią.”

Woda stała przez dwa tygodnie. Przez ten czas osobom poszkodowanym udzielana była niezbędna pomoc. Pan Józef wspomina, że podczas akcji rozdawania żywności i innych niezbędnych do życia środków, wśród niektórych mieszkańców ujawniły się najniższe ludzkie instynkty. Brali co popadnie i ile się da, bez względu na potrzeby innych. Panował bałagan organizacyjny, brakowało koordynacji działań, dlatego też wśród mieszkańców powstał Komitet Powodziowy, który zajął się przeciwdziałaniem skutkom powodzi. Świadczy to o zaradności ludzi, jak i o ignorancji Wojewody i władz Miasta, którzy być może chcieli w ten sposób załatwić zaległe sprawy mieszkaniowe na kolonii. Pan Wincenty, przewodniczący tejże Komisji, wspomina jak to ludzie w sytuacji zagrożenia potrafili się zebrać i nawzajem sobie pomagać. Robiono listy kto, co i ile potrzebuje, starali się rozdawać sprawiedliwie dary pochodzące głównie z organizacji pozarządowych, które to najsprawniej i najszybciej udzieliły pomocy poszkodowanym. Starano się jak najszybciej odremontować choćby jeden pokój w mieszkaniu (fot. 9), gdyż ludziom nie bardzo podobało się życie w hotelach, gdzie jedna kuchenka przypadła na dziesięć rodzin, więc chcieli jak najszybciej wrócić na „swoje”. Mimo wszystko, nie tracąc dobrego humoru, pan Wincenty opowiada również, jak to dzięki powodzi miał okazję zwodować przed swoim domem całkiem nową motorówkę, która zresztą bardzo przydała się wszystkim mieszkańcom (fot. 6).

Choć od powodzi minęło już ponad pół roku, jej skutki są przez mieszkańców kolonii odczuwane do dzisiaj. Katastrofa ta nie tylko zniszczyła ludziom domy o które dbali na przekór władzom miasta, ale także zburzyła pewną harmonię w jakiej, mimo wszystko, żyli. Ich egzystencja została zdeterminowana przez to jedno, katastrofalne wydarzenie. Trudno powiedzieć jak żyli przed powodzią, gdyż prawie każda rozmowa na ten temat mimowolnie wracała do lipcowych wydarzeń i jej skutków. Pan Wincenty, mieszkający tu od czterdziestu lat, wspomina czasy swej młodości przez pryzmat przemian ustrojowych w Polsce. Jego pokolenie „żyło”, ciągle miało mało czasu. Państwo wspierało inicjatywy młodych ludzi, stawiając plac zabaw, boisko, organizując różne imprezy czy zawody sportowe.(fot. 7) Dzisiaj dzieci bawią się w przydomowych ogródkach, a młodzieży właściwie nie widać. Uciekają stąd do miasta bojąc się zapewne konsekwencji kolejnych powodzi lub po prostu są znudzeni monotonią życia na przedmieściu. Najczęściej można ich spotkać w autobusach, przeważnie w weekendowe wieczory, kiedy to wybierają się na dyskotekowe imprezy lub do pubów w Gdańsku. Taki sposób spędzania wolnego czasu jest bardzo charakterystyczny dla ludzi z tego typu osiedli. Młodzież, która pracuje albo uczy się w centrum miasta, z reguły traktuje swój dom jedynie jako sypialnię. Tradycyjny model rodziny upadł wraz z nadejściem kapitalizmu, co wśród starszych mieszkańców może budzić pewną nostalgię za poprzednim systemem.

Pan Józef także uważa, że kiedyś żyło się tutaj zupełnie inaczej. Nie było takich wysokich ogrodzeń pomiędzy domami, furtki były zawsze pootwierane a ludzie byli ze sobą bardziej zżyci. Odkąd pojawiła się telewizja stosunki sąsiedzkie stały się bardziej ograniczone, ludzie zamknęli się w swoich domach bojąc się włamań i kradzieży, co poniekąd można wytłumaczyć tym, że Orunia uważana była niegdyś za jeden z najbardziej niebezpiecznych rejonów Trójmiasta. Taka zła fama może

wynikać z tego, iż dzielnica położona jest zaledwie pięć minut drogi autobusem od dworca głównego w Gdańsku, a różnica, choćby w samym wyglądzie zewnętrznym budynków, jest ogromna. Wjeżdżając na Orunię od razu można zauważyć, że mieszkają tu ludzie o wiele biedniejsi niż w centrum miasta i choć w latach osiemdziesiątych na Górnej Oruni zaczęły powstawać blokowiska wraz z siecią handlowo-usługową, to Kolonia Mysia wraz z trzema pozostałymi koloniami wcale się nie rozwinęły. Ludzie po dziś dzień korzystają tu z toalet na zewnątrz domów (fot. 8) a do najbliższego sklepu mają co najmniej kilometr po nierównej i zniszczonej, przez ciężarówki z okolicznych zakładów przemysłowych, drodze. Ten stan tłumaczyć może tylko opieszałość władz miasta, które właściwie nie mają żadnego interesu w inwestowanie jakichkolwiek pieniędzy celem zapewnienia mieszkańcom godziwych warunków do życia.

Mimo tych wszystkich problemów i zagrożeń, ludzie z Kolonii Mysiej w zdecydowanej większości nadal chcą tu mieszkać. Z wolna odbudowują swoje domki, które z zewnątrz nie wyglądają jeszcze najlepiej, ale w środku panuje zawsze miła i ciepła atmosfera domowego zacisza. Są bardzo życzliwi i otwarci na rozmowy na temat ich życia po powodzi, na którą patrzą już raczej z dystansem i pewnym poczuciem humoru. Uważają swoją ulicę za raczej spokojną, co właściwie wyczuwa się w powietrzu. Chociaż z zewnątrz nie wygląda na tętniącą życiem, to jednak w środku, pod sypiącymi się sufitami, mieszkają ludzie niezwykle energiczni, żywiołowi a czasem i ekscentryczni. Pan Józef mimo podeszłego wieku, ciągle ma na pieńku z prawem i wieczorami wsłuchuje się w swoje CB Radio z zainstalowanym podsłuchem rozmów policyjnych. Kilka domków dalej żyje pewien stary Anglik, nieodłącznie kojarzony z, chyba jeszcze starszym od niego, rowerem, na którym, nie ważne czy śniegu jest po pas czy wody po kolana, wszędzie jeździ. Poza tym mieszka na nieogrzewanym strychu i jest, nie wiedzieć czemu, uważany za dziwaka. Jego sąsiadka, Pani Teresa, wraz z liczną gromadką wnucząt, zamieszkuje dom, którego wystrój mógłby z powodzeniem posłużyć jako element dekoracyjny niejednego skansenu – jest to po prostu tradycyjna, wiejska chałupa, z łóżkiem obok pieca kaflowego. W domku tuż obok można spotkać młodych małżonków, którzy odkąd się tu sprowadzili nawet nie próbują, lub nie mają czasu, doprowadzić swego mieszkania do stanu jako takiej używalności. Po kolonii chodzą plotki, że żyją samą miłością. Kawalek dalej mieszkała niegdyś kobieta lekkich obyczajów, ale umarła, o czym z żalem opowiadał pan Wincenty – kawaler z odzysku. Ściany jego mieszkania zdobią pamiątki z morskich podróży, a przy filiżance gorącej kawy można posłuchać opowieści o tym, jak to w czasie stanu wojennego był więziony przez Urząd Bezpieczeństwa za udział w akcjach protestacyjnych Stoczni Gdańskiej, gdzie po opłynięciu kawałka świata jakiś czas pracował.

Ludzie z Kolonii Mysiej po ostatniej powodzi starają się ułożyć swoje życie od początku, choć na tych samych fundamentach. Tu jest ich dom, dom w którym się wychowali, dorastali, przeżyli złe i dobre chwile. Udowodnili już, że potrafią poradzić sobie z klęską żywiołową, ale czy uda im się pokonać aparat administracyjno - urzędniczy z jego planami przebudowy całego osiedla? Czas pokaże. Na razie żyją sobie tak, jak chcą do czego mają pełne prawo, bo tak naprawdę wszystko to, co mają, sami sobie zawdzięczają.

Pracę wykonali:

Joanna Pernaczyńska
Monika Zakrzewska
Józef Ostrowski
Przemysław Smokowski
Emil Osika

Załączniki:

Zdjęcia wykonane aparatem marki Zenit
Mapka

Źródła:

Rozmowy przeprowadzone z mieszkańcami Kolonii Mysiej
Artykuł z Dziennika Bałtyckiego z 18 lipca 2001 roku

Gdynia 5-01-2002